

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

8

Czekał niedługo. Pani Lutin, uprzedzona przez starego służącego, oceniającego, że „w poczekalni czeka dżentelmen prawdziwy“, pospieszyła na powitanie gościa. Już w progu pokoju przywołała na okrągłą, czerwoną twarz stereotypowy uśmiech nadzwyczajnej uprzejmości.

— Dzień doży pani — rzekł Bernac, powstając na jej wejście i składając jej ukłon głęboki. — Jestem przyjacielem pana Włodzimierza Guzowa i pragnę bardzo pomówić z nim.

Pani Lutin westchnęła ciężko i uniosła w sufit zasmuczone oczy.

— Ach! Mój dobry panie! — zawołała z boleścią, wyciągając ręce do Bernaca — Nie domyśla się pan nawet, że słowa pana sprawiają wielki smutek w moim sercu!

— Ach! Moja pani... gdybym był przypuścił... Doprawdy bardzo mi nieprzyjemnie...

Pani Lutin poprosiła go ruchem ręki, aby zajął miejsce.

— Otóż mój panie, upływa właśnie trzy tygodnie, jak pan Guzow, przyjaciel pański i ośmielał się powiedzieć, mój także i wszystkich gości mojego pensjonatu — znikł nagle, bez najmniejszego słowa pożegnania.

— Rzeczywiście, to przykra rzecz!

— A co najprzykrejsze — ciągnęła dalej pani Lutin, że właśnie, jak się dowiaduję, otrzymał znaczny spadek w Rosji i nikt nie wie, gdzie go szukać.

— Ach! tak! odparł niedbale Bernac. — Guzow miał wujka bardzo bogatego i bezdzietnego, o ile mi się zdaje.

— Widzę, że pan wie również o tym fakcie. Ale może sobie pan wyobrazić, jak rzecz podobna wstrząsnęła istotę tak jak ja wrażliwą i czułą. — Szczególniej przykra była dla mnie chwila, kiedy ci panowie z konsulatu przyszli po informacje.

— Tak? Więc już byli!

— A byli, mój panie! — odpowiedziała z pewną dumą pani Lutin, prostując swoją wyniosłą i korpułentną postać.

— Czy i inne osoby przychodziły również zasięgać wiadomości o moim przyjacielu? Zapewne ktoś się musiał pytać o niego?

Pani Lutin zastanowiła się chwilę.

— Tak... był jeden pan... pan o arystokratycznym wyglądzie... tak jak pan... tylko starszy.

— Czy nie przypomina sobie pani dokładniej, jak ten pan wyglądał? — zapytał Bernac zaintrygowany.

— Wysoki był i miał duże siwe włosy.

— A może zapamiętała pani sobie jego nazwisko? Byłoby to wielką wskazówką dla nas, bo przypuszczam, że i pani chciałaby wiedzieć, co się stało z Włodzimierzem Guzowem?

— Ależ naturalnie, mój panie! Ale nazwiska tego pana nie przypominam sobie... Wiem tylko, że miał na sobie duże, ciemne futro i monokl w oku. Był tu zresztą dwa czy też trzy razy i rozmawiał z pana przyjacielem.

Bernac milczał chwilę.

— Odkądto pan Guzow zamieszkał u pani? Czy dawno już?

— Mieszkał tutaj od trzech miesięcy.

— A nie wydalal się na dłużej przez ten czas? Bo ja niedawno dopiero powróciłem do Paryża i nic o nim nie wiem.

— Nie wyjeżdżał nigdzie. Pan Guzow prowadził wogóle życie bardzo regularne i spokojne. Rano wychodził wcześniej do swoich zajęć, powracał dopiero wieczorem na obiad i już nigdzie nie wychodził. — Najczęściej szedł od razu po obiedzie do swojego pokoju i udawał się na spoczynek.

— Ach! Tak, tak! Widzę z przyjemnością, że pozostał ten sam, co był w Petersburgu. Cichy, spokojny i pracowity. Wzór młodych ludzi — nieprawdaż?

— Och! Tak, mój kochany panie! Dlatego też dotąd żałuję go tak serdecznie. Poszedł rano, jak zwykle, jednego dnia i więcej nie powrócił! To przecież okropne. Nie mogę się dotąd uspokoić!

— A czy nie przypuszczasz pani, że powodem tego oddalenia niewytłumaczonego mogła być kobieta?

Pani Lutin na tym punkcie miała surowe za-

sady. Podniosła wysoko głowę i wyrzekła z godością:

— Mój kochany panie, do pensjonatu mojego przyjmuję tylko osoby o dobrych obyczajach i polecane mi przez dawnych moich znajomych. I nic w zachowaniu się pana Włodzimierza Guzowa nie pozwoliło mi przypuszczać czegoś podobnego, bo gdybym cośkolwiek tego rodzaju spostrzegła...

— Niema o czym mówić, kochana pani, wiem, że pensjonat pani cieszy się jak najlepszą opinią. Czyń różne przypuszczenia, oto wszystko. A może wie pani, jakim zajęciom oddawał się obecnie pan Guzow, bo jak powtarzam, straciłem go z oczu czas jakiś...

Zacna dama oburzyła się na te słowa.

— Gdyby mnie pan znał lepiej — wyrzekła surowo — toby mi pan nie zadał tego pytania.

— Dlaczego, kochana pani?

— Dlatego, że nie jest w zwyczaju moim interesować się gośćmi moimi poza pensjonatem. Zresztą nie jestem ciekawa z natury.

— Niechże więc pani zechce mi wybaczyć tę niedyskrecję i weźmie ją na karb rozdrażnienia nieobecnością przyjaciela — tłumaczył się Bernac — Doprawdy nie przypuszczałem, że do tego stopnia urażę panią.

— To nie, mój panie. Widocznie nie mieszkał pan nigdy w moim pensjonacie — odpowiedziała już łagodniej pani Lutin.

Pani Lutin zresztą mówiła prawdę, bo wszyscy pensjonariusze w „Europie“ wychwalali zawsze nadzwyczajny jej takt i dyskrecję.

— Jestem ogromnie przygnębiony otrzymaną przez panią wiadomością — odezwał się jeszcze Bernac — Doznałem przykrego bardzo rozczarowania. Właśnie otrzymałem urlop trzechdniowy i chciałem go spędzić z Guzowem, tu, w Paryżu, bo muszę zaraz potem powracać do Belgii, gdzie jestem stale przydzielony — a jego niema! Tak dawno go już nie widziałem! Czy pani nie byłaby łaskawą wskazać mi, gdzie bym mógł na ten krótki czas zatrzymać się? A może pani ma wolny pokój? Przyjechałem tu prosto z podróży z walizką, którą zatrzymałem w samochodzie.

Twarcz pani Lutin rozjaśniła się żywym zadowoleniem. Jednakże zawahała się chwilę.

— Z największą przyjemnością przyjąłabym pana — odrzekła — ale widzi pan, nie mam obecnie żadnego wolnego pokoju. Jak pan wie, pensjonat mój jest bardzo poszukiwany i zjeżdża tu do mnie więcej osób, niż pomieścić mogę.

— Więc niema ani jednego wolnego pokoju?

— To znaczy, że jest, są nawet dwa, ale nie wiem, czy ich użyć mogę dla pana.

— Dlaczego?

— Jeden pokój to właśnie ten, zajmowany przez pana Włodzimierza Guzowa. Zapłacił z góry za cały miesiąc i mam obowiązek zatrzymania go dla niego, nieprawdaż?

— Oczywiście, kochana pani.

— A drugi, sąsiadujący z tamtym. Ale również zatrzymany jest oficjalnie przez czcigodnego ojca Nataniela Bodminstera, który ma wkrótce powrócić.

— Ach! to pastor angielski?

— Tak! Najzaczniejszą osobą i gościem, na którym zależy mi bardzo, pojmuje pan? Wszyscy tu w pensjonacie szanujemy go nadzwyczajnie i cieszymy się jego obecnością. Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster zajmuje się tutaj badaniami archeologicznymi i od czasu do czasu zjeżdża tutaj dla swoich studyów.

— A teraz powrócił do Anglii?

— Tak jest. Rozumie pan, że na długo nie może opuszczać obowiązków swoich, które go tam zatrzymują. Ale zachowuje zawsze pokój w moim pensjonacie i zapowiada surowo odjeżdżając, żeby mu tam nic nie ruszano. To jest już jego słabość. Ceni nadzwyczajnie porządek i niechętnie patrzy, jak kto mu przerzuca jego papiery i książki. Przecież to całkiem zrozumiałe, nieprawdaż?

— Ależ naturalnie, kochana pani.

— Więc doprawdy nie wiem, co z panem zrobić?

— To trudno, skoro niema pokoju. Zjadę do hotelu, choć przyznaję szczerze, że wolałbym zamieszkać w pensjonacie pani. Może doczekałbym się powrotu przyjaciela.

— Wie pan co? — rzekła po chwili namysłu pani Lutin, która pragnęła tak „prawdziwego“ dżentelmena zatrzymać u siebie i pochwalić się nim przed swoimi gośćmi. — Sądję, że nie wystąpię przeciw obowiązkowi swoim, jeżeli panu oddam pokój pana Guzowa, nieprawdaż?

— Ależ kochana pani! Doprawdy pani jest bardzo łaskawa.

— Bo gdyby nawet pan Guzow powrócił, to nie

okaże się zbyt surowym dla mnie, skoro w pokoju swoim zastanie przyjaciela.

— Ależ naturalnie! Pogodzimy się jakoś, gdyby powrócił, niech pani o to będzie zupełnie spokojna — zawołał uradowany Bernac — I tylko jednego pragnę, żeby się tak stało naprawdę! Wobec tego, jeżeli pani pozwoli, zainstaluję się tam zaraz.

— Proszę pana, kiedy tylko pan zechce.

— Doskonale.

Bernac wyjął z portfela banknot stufrankowy i wręczył go pani Lutin.

— A teraz zechce pani kazać znieść moją walizę i zapłacić dorożkę.

Bernac bowiem, jadąc na ulicę Tournon, zmienił zdanie i zamiast kazać się wieźć prosto do pensjonatu, wstąpił do siebie i wziął zawsze przygotowaną na wszelki wypadek walizę.

Następnie powiedział swojemu szoferowi, że już mu na dzisiaj nie będzie potrzebny i kazał zawołać zwykłą dorożkę automobilową, do której wsiadł i pojechał. Był przekonany, że taka dorożka mniej zwróci uwagę na ulicy Tournon, niż prywatny jego, dobrze znany automobil.

W dwie godziny później, Bernac siedział przy wspólnym stole pensjonatu „Europa“ i z całą swobodą zasymilował się z nowym i nieznanym sobie środowiskiem. Pani Lutin zwracała się do niego z najwyższą uprzejmością i zainteresowaniem i wkrótce Bernac był w najlepszych stosunkach towarzyskich z wszystkimi gośćmi pensjonatu.

Stary Adolf z wyróżnieniem pewnem obsługiwał go, patrząc na niego z szacunkiem i podziwem.

W ten to sposób, naprowadzając gości pani Lutin na swobodną rozmowę, Bernac dowiedział się po pół godziny, że czcigodny ojciec Nataniel Bodminster opuścił pensjonat „Europa“ w ten sam dzień, w którym wydalil się Włodzimierz Guzow. Ojciec Nataniel odjechał bardzo wczesnym rankiem. Posiadając z natury usposobienie wrażliwe i uczuciowe, nie chciał się zgodzić, aby pani Lutin żegnała go przy odjeździe.

Tylko jeden Adolf mógł go pożegnać, bo on jeden tylko o tej godzinie był już na nogach. Adolf więc na jego życzenie poszedł po dorożkę i pomógł mu znieść bagaże. Właściwie ojciec Nataniel sam, obdarzony niezwykłą siłą, nie chcąc trudzić starego służącego, zniósł ze schodów duży swój koszyk i umieścił go w powozie. Badany dyskretnie Adolf sam podnosił ten fakt, jako niezwykły objaw dobrego serca czcigodnego ojca. W koszyku tym miały być książki naukowe. Kiedy powóz już ruszał, ojciec Nataniel zawołał: „Na dworzec północny!“

Co zaś do Guzowa, ten jeszcze wcześniej musiał wyjść z pensjonatu, ponieważ nikt z otoczenia, ani Adolf nawet nie widział go.

— Czy nie zapamiętałeś numeru dorożki, mój przyjacielu? — odważył się zapytać służącego Bernac.

— Nie, łaskawy panie. — odparł Adolf, który w dobroduszości swojej nie zwrócił uwagi na dziwne to zapytanie. To była jakaś dorożka przejeżdżna. Nie zauważyłem nawet jej wyglądu.

— Trudno ją będzie odnaleźć — pomyślał z niezadowolaniem Bernac — Ale ten czcigodny ojciec Nataniel, to napewno podejrzana jakaś osobistość. Tego muszę wydobyć, choćby z pod ziemi. Pojechał do Anglii, oddam go więc pod opiekę Clemsona, to będzie najlepiej.

Jeszcze tego samego dnia, Bernac, zabawiwszy tylko krótką chwilę w pokoju Włodzimierza Guzowa, wyszedł z pensjonatu i wsiadł do omnibusu, odchodzącego w stronę placu Giełdy. Tam wysiadł i wszedł do biura pocztowego. Najsamprzód zatelefonował do swojego mieszkania, aby się dowiedzieć, czy nie nadeszły listy jakie lub telegramy, następnie do Michaliny, żeby ją uspokoić i powiedzieć, że wszystko idzie dobrze. Kiedy głos młodej dziewczyny zabrzmiał w aparacie, Bernac zdziwił się sam wrażeniu, jakie odebrał. Zły był nawet na siebie, że w takiej chwili tak silnie interesuje się nią.

— Myślałam, że przecież pan wstąpi jeszcze do mnie! — mówiła Michalina z wyrzutem — Cały wieczór czekałam na próżno. Niedobry pan jest, tak mnie dręczyć.

— Czy czekała pani na mnie, czy na wiadomości, jakie przynieść mogłem? — zahazardował Bernac, którego oddalenie uczyniło śmielszym.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

— Panno Michalino — nalegał Bernac — czy nie dosłyszala pani słów moich? Czy mam je powtórzyć raz jeszcze?

— To zupełnie zbyteczne. — brzmiała odpowiedź — Czekałam na pana i wiadomości, to chyba zupełnie naturalne, bo jedno nieodłączne od drugiego, nieprawdaż?

— Dyplomatyczna odpowiedź — pomyślał Bernac — ta mała Michalina silna jest w każdym kierunku.